

ZEMSTA GŁUPIUTKIEJ SALLY

Z Sally Gardner, autorką książek dla dzieci,
rozmawia Agnieszka Jucewicz

Diagnoza brzmiała: imbecyl, głupek. Stworzono nowe słowo na moją cześć – „nienauczalna”. Kiedy widzę rodziców, którzy łkają, bo u ich dzieci stwierdzono dysleksję, chce mi się płakać. To nie choroba, nie tragedia, to prezent od losu!

Pokazała im pani

A tak, pokazałam! Powtarzałam to sobie w duchu przez te wszystkie koszmarnie lata szkoły: „Jeszcze zobaczycie, jak bardzo jesteście w błędzie!”. Pokazałam nauczycielom, którzy twierdzili, że mój mózg jest jak sito. Pokazałam koleżankom, które wołały za mną „głupia Sally”. Wszystkim tym, którzy uważali, że do niczego się nie nadaję. Tymczasem została pani jedną z bardziej charakterystycznych autorek książek dla dzieci w Wielkiej Brytanii.

Mając jedną z najcięższych postaci dysleksji.
Ile zaliczyła pani szkół?

Sama już nie wiem. Straciłam rachubę. Na początku szło mi całkiem nieźle. Chodziłam do małej, kameralnej szkółki dla dziewcząt w Londynie. Nie wyróżniałam się, dopóki nie zaczęliśmy nauki czytania. Pamiętam, że nauczycielka pokazywała nam tabliczki: na jednej był obrazek przedstawiający na przykład kota, a na drugiej wyraz KOT. Kiedy dwie tabliczki zestawiano razem, wszystko było jasne. Łatwizna – myślałam. Schody zaczęły się, kiedy nauczycielka chowała tabliczki z obrazkami i zostawiała tylko te z wyrazami.

Co pani wtedy widziała?

Bohomazy. Litery tańczyły mi przed oczami, zamieniały się miejscami. Szybko się zorientowano, że „coś ze mną jest nie tak”.

Nie słyszano wtedy jeszcze o dysleksji?

Nie. Dysleksję zdiagnozowano u mnie, dopiero kiedy miałam 12 lat. To była druga połowa lat 60.

Poczuła pani ulgę?

Żadnej. To słowo nic dla mnie nie znaczyło. Nie reprezentowało mnie. Nie umiałam go przeliterować. Nie potrafiłam nawet przeliterować swojego imienia Sarah. To „h” na końcu zawsze wciskało się tam, gdzie nie trzeba, więc zmieniłam imię na Sally. Było znacznie łatwiejsze do zapamiętania.

Jakie stawiano diagnozy do tego czasu?

Prawdopodobnie uszkodzenie mózgu w czasie porodu kleszczowego. To jedna. Druga – że to efekt traumy po rozwodzie rodziców, którzy rozstali się, kiedy miałam pięć lat. Jeszcze inna – problemy ze wzrokiem – sprawiono mi więc okulary. Najczęstsza diagnoza

brzmiała jednak: imbecyl, głupek. Stworzono nawet nowe słowo na moją cześć: „nienauczalna”.

Jak próbowano panią uczyć?

Przez całą podstawówkę sadzano mnie w ostatniej ławce z elementarzem – „Janet i John mają byka” – i kazano składać literki. To była najbrzydsza, najbardziej pozbawiona charakteru książka, jaką kiedykolwiek miałam w rękach. Oczywiście nie szło mi, więc nie pozwolono mi robić nic innego. Nie mogłam się uczyć matematyki, francuskiego, do którego miałam ucho, geografii, biologii – bo według nauczycieli i tak nie miało to sensu. Chodziłam więc tylko na lekcje angielskiego, historii i sztuki. I modliłam się, żeby nie umrzeć z nudów. Na szczęście mogłam rysować, więc rozwijałam się w tym kierunku, chociaż też zdarzało mi się słyszeć, że moje rysunki są do niczego, bo na przykład „niebo nie styka się z ziemią, a przecież wiadomo, że zawsze się styka”.

W końcu, w wieku 14 lat, nauczyla się pani czytać.

Pamiętam to jak dziś. Deszcz tak mocno walił w dach świetlicy, w której się schowaliśmy, że nie sposób było się na niczym skupić. Inne dzieci wrzeszczały, biegały, ktoś się bił. Panował potworny zgiełk. Zwykle w takich okolicznościach wymyślałam sobie jakąś historię, która pozwoliłaby mi się odciąć od reszty, ale wtedy nie miałam na to siły. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że na półce obok leży gruba książka z piękną okładką. Pomyślałam: a co mi tam, spróbuję raz jeszcze. Zaczęłam składać literę do litery. Pierwsza strona szła opornie, ale w pewnym momencie poczułam, że zapadła kompletna cisza, pada śnieg, a ja jestem na wrzosowisku. To było jak olśnienie – a więc o to chodzi w tym całym czytaniu! To jest cudowne. Jak latanie! Byłam w środku powieści. Nie wiem, jak to się stało. Niektórzy naukowcy zajmujący się badaniami nad mózgiem twierdzą, że w okolicach 14 lat dzieje się coś takiego, że to, co do tej pory nie było możliwe, staje się możliwe.

Co to była za książka?

„Wichrowe Wzgórza” Emily Brontë. Natychmiast pobiegłam do wychowawczynie się pochwalić. Uznała, że zmyślam. Ale przekazała tę informację dyrektorze, która wezwała mnie do gabinetu i wręczyła dziennik „The Times”. „Słyszałam, że czytasz – powiedziała z prze-



Sally Gardner

– brytyjska pisarka i ilustratorka
książek dla dzieci, laureatka
prestiżowych nagród literackich,
m.in. Costa Children's Book Award
za powieść pt. „Maggot Moon”.
W Polsce nakładem wydawnictwa
Muza SA ukazały się jej książki
z serii „Magiczne dzieci”, m.in.
„Najmniejsza dziewczynka na świecie”
i „Chłopiec szybki jak strzała”.
Jest absolwentką uczelni Central Saint
Martins w Londynie, z wykształcenia
– scenografką teatralną.
Ma dysleksję

lat,
w
miała
wisku

ę
rował
tów

two

kąsem. – To pokaż nam jak”. Dukałam, ale udało mi się złożyć kilka zdań do kupy. I wtedy dyrektorka powiedziała coś zaskakującego: „Zawsze wierzyłam, że będą z ciebie ludzie”.

Co to była za szkoła?

Dla tak zwanych dzieci nieprzystosowanych. Trafiłam tam już po wszystkich możliwych eksperymentach edukacyjnych: po publicznych szkołach, po szkołach prywatnych, alternatywnych. Po lekcjach u prywatnych nauczycieli, którzy też szybko się poddawali, twierdząc, że uczenie mnie to strata czasu. Oraz po dwóch latach re-edukacji z panią H., absolutnie przerażającą panią psycholog, która twierdziła, że jest w stanie „wyleczyć” mnie z dysleksji, co jest oczywiście niemożliwe, bo dysleksja to nie choroba.

Jak pani wspomina tę szkołę dla nieprzystosowanych?

Jak czyścić. Trafiały tam dzieci z naprawdę dużymi problemami wychowawczymi i edukacyjnymi. Niektóre były skrajnie zaniedbane, wręcz porzucone przez rodziców, część z nich była świadkami przemocy. Pamiętam, że na początku też czułam się opuszczona. Moja mama właśnie urodziła moją przyrodną siostrę, a mnie oddano do szkoły z internatem dla beznadziejnych przypadków. Ale kiedy skończył się semestr i zobaczyłam wylaniający się z zamieci śnieżnej samochód ojczyma, zrozumiałam, że jestem kochana. Może niezbyt konwencjonalnie, ale jestem. Po większość dzieci nikt nie przyjeżdżał.

Prześladowano panią?

W każdej szkole byłam ofiarą przemocy. W tej – stosunkowo najmniej. Ale to, co się tam działo, przechodziło ludzkie pojęcie. W środku nocy wychowawcy potrafili zrobić nam rewizję, bo było podejrzenie, że któreś z dzieci coś ukradło. Cały czas ktoś się lał albo dostawał napadu furii, dochodziło do aktów przemocy – ofiary zamykano w ciemnościach na strychu albo w kurniku. Nauczycielki nie radziły sobie, więc ciągle krzyczały. Pamiętam, że kiedyś jeden z chłopców umarł na boisku szkolnym. Chorował na serce, o czym nikt nie wiedział. Grał w piłkę, padł i już nie wstał.

Ale to wcale nie w tej szkole najbardziej mnie krzywdzono.

A gdzie?

W kolejnej, na szczęście już ostatniej. To była elitarna szkoła dla dziewcząt z dobrych domów. Szczerze jej nienawidziłam, ale matka powiedziała, że to moja ostatnia szansa, że jeśli tylko uda mi się zdać egzamin gimnazjalny, to mi odpuści i będę mogła robić, co będę chciała. **Pani mama była sędzią sądu najwyższego, drugą kobietą na tym stanowisku w Anglii. Ojciec był prawnikiem, a do tego posłem. Rodzice nie wywierali na panią presji?**

Może by wywierali, gdybym się uczyła np. średnio, ale ja zawsze byłam najgorsza, więc się nie łudzili, że zostanę kolejnym prawnikiem w rodzinie. Chociaż matka nigdy nie sądziła, że jestem głupia. Nigdy. Może dlatego w głębi duszy mimo to, co słyszałam dookoła, ja też w to nie wierzyłam. Niedługo po diagnozie mój cudowny ojczym zabrał mnie na wyścigi konne. Dał mi dziesięć szylingów, co było wtedy zawrotną sumą, i powiedział: „Sally, stawiaj, na którego chcesz, ile chcesz”. Matka była na niego wściekła, że tak szasta pieniędzmi. Całe dziesięć szylingów postawiłam na konia, który wabił się Silly Season (Głupia Pogoda). Wystartował ostatni. A potem z każdym metrem nabierał prędkości i na metę przybiegł pierwszy. Powiedziałam wtedy mamie: „Widzisz, ja jestem jak ten koń! Nigdy nie wolno tracić nadziei!”.

Znajomi rodziców też uważali, że jestem niezwykle inteligenta. Nie wierzyli w moje szkolne kłopoty, bo byłam dzieckiem, które miało bardzo bogate słownictwo. Ponieważ nie umiałam czytać ani pisać



i bardzo się tego wstydziałam, kolekcjonowałam słowa. A w naszym domu tych pięknie brzmiących słów było całe mnóstwo – np. „prawdawstwo”, „uniewinnić”, „zaskarżyć”, „uprawomocnić”. Ojciec z kolei nie bardzo się tym wszystkim przejmował. Twierdził, że najważniejsze, abym dobrze wyszła za mąż i nauczyła się gotować, a reszta sama się jakoś ułoży.

Rodzice wiedzieli, że jest pani ofiarą przemocy?

Wiedzieli. Ale wtedy inaczej chowało się dzieci, był inny stosunek rodziców do szkoły. Słowo nauczyciela było święte. Mama, która była bardzo waleczną osobą, poradziła mi, żeby po prostu wałnąć tego, kto będzie mi dokuczał. Zrobiłam tak raz i wyrzucono mnie wtedy ze szkoły. Tym razem – dyscyplinarnie.

Jak pani dokuczano?

Dyslektycy inaczej widzą świat - to ich wielka wartość - bardziej przestrzennie, wizualnie. Umieją dostrzec np. piękno słów - ich wygląd, nie tylko brzmienie. Czy wie pani, jak pięknie wygląda angielski przedimek „the”? Albo słowo „schizofrenia”?



Trudno mi o tym mówić. Dzieciństwo to jest naprawdę najkoszmarniejszy okres w moim życiu i nigdy, przenigdy nie chciałabym do niego wrócić... Tak jak mówiłam, najdotkliwiej prześladowały mnie te tzw. dobrze wychowane dziewczynki. Wyzywały, kładły agrafki na krześle, wiązały prześcieradło w łóżku tak, że kiedy wchodziłam do niego, to niechętnie robiłam w nim dziury, a dostawałyśmy tylko jedno prześcieradło na semestr...

Były panią?

W mojej powieści „Maggot Moon” jest taka scena: dyrektor szkoły wpada na pomysł, żeby na szkolnym boisku postawić ławkę. Taką zwykłą, parkową. Z oparciem. U nas w szkole też była taka ławka. Dziewczyny stawiały ją w poprzek jednego z narożników boiska. Kilka z nich siadało na oparciu, z nogami na siedzisku, tak żeby zza ich pleców nie było widać, co się dzieje przed nimi. Związywały mi skakanką ręce, czasem nogi. Szturchały. Wyśmiewały.

Nauczyciele tego nie widzieli?

Nie widzieli. Może nie chcieli widzieć – miałam przecież ślady po skakance na rękach... Dzisiaj jest podobnie. Kiedy chodzę po szkołach na spotkania autorskie, słyszę: „My? My nie mamy żadnego problemu z przemocą rówieśniczą”. A mnie wtedy skacze ciśnienie: „Naprawdę?”.

Bo ja jestem w stanie po pięciu minutach spotkania wskazać, kto jest oprawcą, a kto ofiarą. Często zresztą te katowane dzieci podchodzą do mnie i same mi się zwierają, pytają, co mają robić, czy znam ten problem. Oprawcy zwykle też są czyimiś ofiarami – przemocowych rodziców, starszego rodzeństwa, układu w rodzinie. Odbijają swoje frustracje na słabszych. Dzisiaj przemoc kwitnie w internecie – na Facebooku, Twitterze, Instagramie. Uważam, że powinno się zakazać zakładania profilu na Facebooku dzieciom poniżej 18. roku życia.

Jak pani się przed tym chroniła?

Zawsze miałam niezwykle bogatą wyobraźnię oraz zdolność do zastępowania w miejscu na wiele godzin. Potrafiłam być ciałem tutaj, a duchem zupełnie gdzie indziej. To pewnie też sprawiało, że mogłam wyglądać na niezbyt pojętą. Dużo rysowałam, a przede wszystkim odlatywałam w swoje własne opowieści. Moim bohaterem zwykle był chłopiec – tak bardzo nie znosiłam dziewczyn – który przeżywał niezwykle przygody. Na początku gdzieś na Dzikim Zachodzie, potem rozwiązywał zagadki kryminalne. Na różne sposoby, w wyobraźni, uśmiercałam też tę ohydą parkę – Janet i Johna. Nie o wszystkich wariantach wypada mi opowiadać, ale w jednej z tych historii podarowałam im pieska. Niestety, ich cholerny byk tak się go wystraszył,

że z impetem wpadł na dzieci, które właśnie stały na krawędzi klifu... Nie była to piękna śmierć.

Podobno wybrazala sobie pani tez, ze w pani sypialni w kredensie ukrywa sie aktor, który nocą opowiada pani i bratu bajki.

Marzyłam, żeby tak było! Ale tak naprawdę przez wiele lat to ja je opowiadałam. Mój o dwa i pół roku młodszy brat je uwielbiał. Kiedy zbliżałam się do końca, wyskakiwał ze swojego łóżeczka, siadał na mnie i krzychał: „Jeszcze! Jeszcze!”. W naszym domu nie brakowało książek, mieliśmy pięknie ilustrowane albumy, niektóre jeszcze sprzed wojny. Bardzo je lubiłam, cierpiałam, że nie mogę ich przeczytać, zwłaszcza że mama czytała po kilka książek tygodniowo, więc wymyślałam, co w nich może być.

Mieszkaliście w Gray's Inn, pięknym zabytkowym osiedlu dla prawników w Londynie.

To było magiczne miejsce, które sprzyjało fantazjowaniu. Było jakby z innej epoki. Jak z Dickensa. Nobliwe kamienice otoczone parkiem, oświetlały je stare latarnie. W latach 50. i 60. Londyn był bardzo zanieczyszczony, wręcz czarny od sadzy. Pamiętam, że kiedy otwierało się okno do naszej sypialni – a spaliśmy na poddaszu – do pokoju wkradał się taki zielony smog, który przypominał ducha. Rozsiadał się w naszym pokoju, po czym znikał. Zawsze wymyślałam na jego temat jakąś historię i straszylam nią brata. Zresztą w ten sam sposób spacyfikowałam wreszcie moje prześladowczynię ze szkoły. Któregoś dnia tak mi założyły za skórę, że kiedy światła zgasiły, zaczęłam na głos

mnie to, co masz do powiedzenia”. Uważała nawet, że mam szansę dostać się na Oksford, gdyby tylko system edukacji nie był taki sztywny i bezmyślny. Bardzo się o mnie martwiła. Utrzymywałyśmy kontakt aż do jej śmierci. Doczekała momentu, kiedy wydałam pierwszą książkę z moimi ilustracjami, na początku lat 90., ale niestety, nie dożyła mojego debiutu pisarskiego. Napisała mi przed swoją śmiercią piękny list o tym, jaka jest ze mnie dumna. Nigdy jej tego nie zapomnę.

Mając 16 lat, przystąpiła pani do egzaminu gimnazjalnego, na którym tak zależało pani mamie – i zdała pani. Jak to możliwe, skoro jeszcze dwa lata wcześniej nie umiała pani czytać?

Zawzięłam się. Mam świetną pamięć, więc wykułam całe ciągi wyrazów, gotowe odpowiedzi, całe akapity. Byłam tak zdeterminowana, że ślezczałam nad książkami całymi nocami. Wierzyłam mamie i wiedziałam, że muszę wykonać jeszcze ten jeden wysiłek, a potem będę wolna. Kiedy pojawiłam się na egzaminie, moja nauczycielka od angielskiego, pani B., zapytała mnie zdziwiona: „A co ty tu robisz?”. Kiedy usłyszała, że przyszedłam zdawać egzamin, powiedziała: „Tylko nie hałasuj tym swoim ołówkiem, bo są tu dzieci, które zdadzą ten egzamin, a ty do nich na pewno nie należysz”.

Nie miała pani nigdy ochoty uśmiercić w jakiejś powieści wszystkich tych „życzliwych” osób na pani drodze?

Po co? I tak większość z nich już nie żyje. Wie pani, wiele było takich momentów w moim życiu, kiedy myślałam sobie: no, to teraz

Dzieciństwo to najkoszmarniejszy okres w moim życiu i nigdy nie chciałabym do niego wrócić. Najdotkliwiej prześladowały mnie tzw. dobrze wychowane dziewczynki. Związywały mi skakanką ręce, czasem nogi. Szturchały. Naśmiewały się

opowiadać historię o ręce, która wspina się po schodach do naszej sypialni. Czeki i obserwuje, niezauważona, a potem wchodzi do łóżka, prześlizguje się pod kołdrą i nagle chwyta cię za gardło... i dusi. Te okropne dziewczuchy tak się przeraziły, że z krzykiem powyskakiwały z łóżek, zapaliły światło i nie zgasiły go aż do rana. Potem nie mówiły już, że jestem głupia, tylko że jestem „ekscentryczna”, a nawet niebezpieczna – i zostawiły mnie w spokoju. Co więcej, po latach jedna z nich napisała do mnie list w imieniu koła absolwentek – jak to byłoby cudownie powspominać razem stare, dobre czasy i czy nie przystąpiłabym do ich stowarzyszenia.

Przystąpiła pani?

Zartuje pani? Z ogromną satysfakcją odpisałam im, że mogą się pocałować w d... I że ja nie pamiętam żadnych „cudownych” czasów, za to pamiętam – i tutaj wypisałam całą długą listę krzywd, których z ich strony doznałam. Już więcej na szczęście się nie odezwały.

W serii pani książek pt. „Magiczne dzieci” – o perypetiach małych prześladowanych bohaterów, którzy odkrywają w sobie niezwykle moce – zawsze znajduje się jakiś dorosły, który ich wspiera. Sąsiad, dziadek, przyjaciółka dziadka. W pani życiu był ktoś taki?

Na pewno kimś takim była pani Pashley, moja cudowna prywatna nauczycielka języka angielskiego, którą rodzice zatrudnili, kiedy miałam 12 lat. Ona jedyna uważała, że jestem wyjątkową dziewczynką, obdarzoną niezwykłą wyobraźnią i talentem. Mówiła mi: „Sally, nie interesują mnie twoje błędy. Interesuje

zobaczycie, teraz się przekonacie, co potrafię. Ale kiedy ich doświadczałam, okazywało się, że mnie samej sprawa to taką przyjemność, że ta motywacja, aby komuś coś udowodnić – bladła. W pewnym momencie zrozumiałam, że robię to po prostu dla siebie.

Po gimnazjum zdała pani do szkoły artystycznej, a potem dostała się na prestiżową akademię sztuki w Londynie – Central Saint Martins College – na wydział scenografii teatralnej. Dumna?

I to jak! W wieku 16 lat czułam się tak, jakbym dostała nowe życie. Ojciec był co prawda załamany, że zamiast złowić jakiegoś dobrze zapowiadającego się prawnika, weszłam do królestwa rozpusty, za to ja – wystrzeliłam jak rakietą. W Saint Martins znalazłam się w gronie najlepszych studentów. Wreszcie byłam z ludźmi, którzy mnie rozumieli, którzy widzieli świat podobnie jak ja, mieli podobną wrażliwość.

Nie wiem, czy pani wie, ale na uczelniach artystycznych jest największy odsetek osób z dysleksją. Tam. I w więzieniach. Do więzień trafiają ci, którzy mają mniej szczęścia, mniej determinacji i wychowują się w mniej sprzyjających warunkach. To te wszystkie „półgłówki”, co tylko sprawiają kłopoty”. No, sprawiają – bo co innego mają robić, kiedy ich edukacja sprowadza się do ślęczenia nad elementarzem i nie mają szczęścia trafić na nauczyciela, który będzie chciał zobaczyć ich potencjał?

Odebrała pani dyplom z wyróżnieniem.

Przyszedłam do domu, a matka mnie spytała: „Kochanie, czy jesteś pewna, że dobrze to przeczytałaś?”.



Seria „Magiczne dzieci” (wyd. Muza SA) Sally Gardner to historie zwyczajnych dzieci, które odkrywają w sobie niezwykle moce

Po studiach zaczęłam pracować w teatrze i spędziłam tam 15 lat. Uwielbiałam tę robotę, bo idealnie łączyła moje zamiłowanie do opowiadania historii i do rysowania. Miałam głowę pełną niestandardowych pomysłów, które też częściowo zawdzięczałam dysleksji. W swojej pierwszej sztuce do zbudowania scenografii wykorzystałam 150 starych opon samochodowych. Proszę mnie nie pytać, jak przekonałam do tego dyrektora teatru, nie pamiętam.

To wtedy odkryła pani, że dysleksja może być też darem?

Ona jest darem. Ja naprawdę tak uważam.

W jaki sposób?

To mit, że dysleksja to tylko kłopoty z czytaniem i pisanem oraz błędy ortograficzne. To jest to, co widać na zewnątrz, a dyslektycy tak naprawdę inaczej widzą świat – i to jest ich wielka wartość – bardziej przestrzennie, wizualnie. Umieją dostrzec np. piękno słów – ich wygląd, nie tylko brzmienie. Czy wie pani, jak pięknie wygląda angielski przedimek „the” albo słowo „schizofrenia” – cudo! To są perfekcyjnie zaprojektowane słowa.

Dyslektycy myślą nieszablonowo. Mają bardzo bogatą wyobraźnię, wręcz filmową, potrafią tworzyć w głowie alternatywne światy i nie potrzebują do tego żadnego modelu. Często, żeby to dobrze opisać, przywołuję metaforę pociągu. Proszę sobie wyobrazić, że do pociągu wsiadają dzieci. Pociąg jedzie do punktu B, gdzie te dzieci mają znaleźć rozwiązanie nurtującego ich problemu. Dyslektycy potrafi w pewnym momencie wysiąść z tego pociągu, bo zobaczy pięknie ukwieconą łąkę albo spotka jakąś staruszkę, która opowie mu ciekawą historię, albo zobaczy fajne wzgórze, wejdzie na nie i poogląda z niego okolice. Potem i tak trafi do punktu B. Tyle że nikt nie będzie zainteresowany tym, gdzie był i co widział. Wszyscy będą się skupiać na tym, że wysiadł z tego cholernego pociągu! Uważam, że ze swoją inteligencją wizualną, emocjonalną dyslektycy za swym sposobem widzenia świata mogliby być bardziej wykorzystywani w naszej epoce, która coraz częściej polega na obrazach niż na słowie pisanym.

Pani korzystała z tych zdolności, tworząc niestandardowe scenografie, ale na początku lat 90. odeszła pani z teatru. Dlaczego?

Miałam troje małych dzieci. W 1983 roku urodziłam bliźniętka, jedna z nich była chorowita. Trzy lata później urodził się syn. Moja mama była wiecznie nieobecna, kiedy byłam malutką. Nie chciałam tego samego fundować swoim dzieciom. A teatr to bardzo zaborcza dama, nie cierpi konkurencji, więc kiedy stało się jasne, że nie mogę się jej tak bezwzględnie oddać, miałam do wyboru: odejść albo zostać rzuconą – więc odeszłam. Miałam też dość trudnego męża. Był zazdrosny

o moją pracę – sam projektował pociągi dalekobieżne... Prawdą jest też to, że przez lata kochałam aktorki i z godnością znosiłam ich humory, ale w pewnym momencie moja cierpliwość się skończyła. Nie miałam już ochoty na ich gwiazdorzenie.

Nie przeszło pani przez myśl, że to może dobry czas, aby zacząć opowiadać swoje historie?

Skąd! Nie śmiałybym. To było tak wstydlive marzenie, że ukrywałam je nawet sama przed sobą. Czasami tylko przychodziło mi na myśl, że może warto poszukać jakiegoś pisarza, któremu opowiem swoje „bajki”, on je spisze i zobaczymy, co dalej. Ale zabrakło mi odwagi.

Zaczęła pani od ilustrowania książek dla dzieci.

To było bezpieczniejsze, to potrafiłam. Miałam to szczęście, że w wydawnictwie, dla którego zaczęłam pracować, trafiłam na cudowną redaktorkę Judith Elliot, która od razu powiedziała mi: „Masz wyobraźnię pisarki. Przestań rysować, zacznij pisać”.

Radość?

Raczej przerażenie. Bardzo tego pragnęłam, ale jednocześnie pociałam się na samą myśl o tym – niby jak mam to zrobić, kiedy zdarza mi się, że nawet nie potrafię napisać poprawnie słowa „książka”? Są takie dni, kiedy jestem zestresowana albo chora, kiedy moja dysleksja mnie zupełnie przygniata. Wtedy nie jestem w stanie nic przeczytać, niczego napisać. A kiedy mówię, słowa mi się płaczą. Judith się tym nie przejęła. Na początek dała mi bardzo proste zadanie: miałam stworzyć uproszczone wersje klasycznych bajek dla dzieci. Wyjąć pojedyncze zdania z oryginałów, zilustrować je rysunkami i już. Ale kiedy zaczęłam się w to wgryzać, to natychmiast pojawiło mi się w głowie mnóstwo pytań: dlaczego ojciec Kopciuszka zachował się w tak okrutny sposób, dlaczego nie chronił córki? Jakim cudem w „Królowie Śnieżce” Królowa, która zwykle przechadzała się po swoim pałacu w sukni od Versace, zdołała wejść do ciemnego lasu? Itd. Zamiast kopiować i upraszczać, napisałam te bajki po prostu na nowo. Tak to się zaczęło.

Poczuła się pani wreszcie pełnoprawną pisarką?

Nie no, skąd. Bałam się, że zaraz wszystko się wyda, że ludzie odkryją, jaki nieuk podszywa się pod tę nową autorkę książek dla dzieci. Do dzisiaj zdarzają mi się gorsze dni, kiedy słyszę ten głos: „Ale o czym ty mówisz, jaką pisarką?! Pisarze umieją literować, pisarze nie robią błędów, pisarze nie mają dysleksji”.

Co zresztą nie jest prawdą.

Nie jest. Dysleksję miał na przykład Scott Fitzgerald. Wśród współczesnych też znajdzie się paru. Ale przyznanie się przez pisarza do dysleksji wymaga często więcej odwagi niż wyznanie, że jest się gejem.

ACCUCHEK® Performa



Accu-Chek Performa

Codziennie łatwo, codziennie dokładnie.

Glukometr Accu-Chek Performa został wybrany

Najlepszym Produktem Diabetologicznym Roku 2014.¹

Zapytaj lekarza o nowy zestaw startowy Accu-Chek Performa. Zacznij już dziś!

Infolinia: 801 080 104²

Experience what's possible.



ACCUCHEK®

¹ Plebiscyt publiczności podczas XVIII Ogólnopolskiego Sympozjum Diabetologicznego Diabetica Expo 2014, Toruń 27.09.2014.
² Opłata zgodna z planem taryfowym danego operatora.

Po studiach zaczęłam pracować w teatrze i spędziłam tam 15 lat. Uwielbiałam tę robotę, bo idealnie łączyła moje zamiłowanie do opowiadania historii i do rysowania. Miałam głowę pełną niestandardowych pomysłów, które też częściowo zawdzięczam dysleksji. W swojej pierwszej sztuce do zbudowania scenografii wykorzystałam 150 starych opon samochodowych. Proszę mnie nie pytać, jak przekonałam do tego dyrektora teatru, nie pamiętam.

To wtedy odkryła pani, że dysleksja może być też darem?

Ona jest darem. Ja naprawdę tak uważam.

W jaki sposób?

To mit, że dysleksja to tylko kłopoty z czytaniem i pisanem oraz błędy ortograficzne. To jest to, co widać na zewnątrz, a dyslektycy tak naprawdę inaczej widzą świat – i to jest ich wielka wartość – bardziej przestrzennie, wizualnie. Umieją dostrzec np. piękno słów – ich wygląd, nie tylko brzmienie. Czy wie pani, jak pięknie wygląda angielski przedimek „the” albo słowo „schizofrenia” – cudo! To są perfekcyjnie zaprojektowane słowa.

Dyslektycy myślą nieszablonowo. Mają bardzo bogatą wyobraźnię, wręcz filmową, potrafią tworzyć w głowie alternatywne światy i nie potrzebują do tego żadnego modelu. Często, żeby to dobrze opisać, przywołuję metaforę pociągu. Proszę sobie wyobrazić, że do pociągu wsiadają dzieci. Pociąg jedzie do punktu B, gdzie te dzieci mają znaleźć rozwiązanie nurtującego ich problemu. Dyslektyk potrafi w pewnym momencie wysiąść z tego pociągu, bo zobaczy pięknie ukwieconą łąkę albo spotka jakąś staruszkę, która opowie mu ciekawą historię, albo zobaczy fajne wzgórza, wejdzie na nie i poogląda z niego okolice. Potem i tak trafi do punktu B. Tyle że nikt nie będzie zainteresowany tym, gdzie był i co widział. Wszyscy będą się skupiać na tym, że wysiadł z tego cholernego pociągu! Uważam, że ze swoją inteligencją wizualną, emocjonalną dyslektycy za swym sposobem widzenia świata mogliby być bardziej wykorzystywani w naszej epoce, która coraz częściej polega na obrazach niż na słowie pisanym.

Pani korzystała z tych zdolności, tworząc niestandardowe scenografie, ale na początku lat 90. odeszła pani z teatru. Dlaczego?

Miałam troje małych dzieci. W 1983 roku urodziłam bliźniaczki, jedna z nich była chorowita. Trzy lata później urodził się syn. Moja mama była wiecznie nieobecna, kiedy byłam malutką. Nie chciałam tego samego fundować swoim dzieciom. A teatr to bardzo zaborcza dama, nie cierpi konkurencji, więc kiedy stało się jasne, że nie mogę się jej tak bezwzględnie oddać, miałam do wyboru: odejść albo zostać rzuconą – więc odeszłam. Miałam też dość trudnego męża. Był zazdrosny

o moją pracę – sam projektował pociągi dalekobieżne... Prawdą jest też to, że przez lata kochałam aktorki i z godnością znosiłam ich humory, ale w pewnym momencie moja cierpliwość się skończyła. Nie miałam już ochoty na ich gwiazdowanie.

Nie przeszło pani przez myśl, że to może dobry czas, aby zacząć opowiadać swoje historie?

Skąd! Nie śmiałybym. To było tak wstydlive marzenie, że ukrywałam je nawet sama przed sobą. Czasami tylko przychodziło mi na myśl, że może warto poszukać jakiegoś pisarza, któremu opowiem swoje „bajki”, on je spisze i zobaczymy, co dalej. Ale zabrakło mi odwagi.

Zacząła pani od ilustrowania książek dla dzieci.

To było bezpieczniejsze, to potrafiłam. Miałam to szczęście, że w wydawnictwie, dla którego zaczęłam pracować, trafiłam na cudowną redaktorkę Judith Elliot, która od razu powiedziała mi: „Masz wyobraźnię pisarki. Przestań rysować, zacznij pisać”.

Radość?

Raczej przerażenie. Bardzo tego pragnęłam, ale jednocześnie pocilałam się na samą myśl o tym – niby jak mam to zrobić, kiedy zdarza mi się, że nawet nie potrafię napisać poprawnie słowa „książka”? Są takie dni, kiedy jestem zestresowana albo chora, kiedy moja dysleksja mnie zupełnie przygniata. Wtedy nie jestem w stanie nic przeczytać, niczego napisać. A kiedy mówię, słowa mi się plączą. Judith się tym nie przejęła. Na początek dała mi bardzo proste zadanie: miałam stworzyć uproszczone wersje klasycznych bajek dla dzieci. Wyjął pojedyncze zdania z oryginałów, zilustrować je rysunkami i już. Ale kiedy zaczęłam się w to wgryzać, to natychmiast pojawiło mi się w głowie mnóstwo pytań: dlaczego ojciec Kopciuszka zachował się w tak okrutny sposób, dlaczego nie chronił córki? Jakim cudem w „Królowie Śnieżce” Królowa, która zwykle przechadzała się po swoim pałacu w sukni od Versace, zdołała wejść do ciemnego lasu? Itd. Zamiast kopiować i upraszczać, napisałam te bajki po prostu na nowo. Tak to się zaczęło.

Poczuła się pani wreszcie pełnoprawną pisarką?

Nie no, skąd. Bałam się, że zaraz wszystko się wyda, że ludzie odkryją, jaki nieuk podszywa się pod tę nową autorkę książek dla dzieci. Do dzisiaj zdarzają mi się gorsze dni, kiedy słyszę ten głos: „Ale o czym ty mówisz, jaką pisarką?! Pisarze umieją literować, pisarze nie robią błędów, pisarze nie mają dysleksji”.

Co zresztą nie jest prawdą.

Nie jest. Dysleksję miał na przykład Scott Fitzgerald. Wśród współczesnych też znajdzie się paru. Ale przyznanie się przez pisarza do dysleksji wymaga często więcej odwagi niż wyznanie, że jest się gejem.

ACCU-CHEK® Performa



Accu-Chek Performa

Codziennie łatwo, codziennie dokładnie.

Glukometr Accu-Chek Performa został wybrany

Najlepszym Produktem Diabetologicznym Roku 2014.¹

Zapytaj lekarza o nowy zestaw startowy Accu-Chek Performa.

Zacznij już dziś!

Infolinia: **801 080 104²**

Experience what's possible.



Roche

¹ Plebiscyt publiczności podczas XVIII Ogólnopolskiego Symposium Diabetologicznego Diabetica Expo 2014, Toruń 27.09.2014.
² Opłata zgodna z planem taryfowym danego operatora.

ACCUCHEK®

W którym roku pani zadebiutowała jako niezależna autorka?

W 1995 albo 1997. Byłam po czterdziestce. Moje małżeństwo się sy-
pało. Żyłam głównie z ilustrowania książek i nie miałam pojęcia, jak
utrzymam siebie i dzieci. Kiedy wyglądałam przez okno naszego domu,
wydawało mi się, że przy furtce widzę wilka, który czeka i obserwuje.
Miał na sobie kaszmirowy płaszcz, eleganckie buty z czubami, ciemne
okulary i nażelowane włosy. Czulałam, że jeszcze chwila, a zdmuchnie
nasz dom z powierzchni ziemi. Wtedy napisałam swoją pierwszą książ-
kę dla dzieci – „Najsilniejszą dziewczynkę na świecie” – o dziewczynce,
która odkrywa w sobie siłę zdolną do podniesienia dwupiętrowego lon-
dyńskiego autobusu. Judith ją redagowała, ale poza poprawieniem
błędów i literówek nie zmieniła ani jednego zdania. Książka świetnie
się sprzedawała, więc zamówiono u mnie kolejne pięć. I tak powstała seria
„Magiczne dzieci”. A ja mogłam zacząć spłacać długi. Poczułam się jak

swoja własna bohaterka. Każda
kolejna książka jest dla mnie do-
wodem, że to nie dysleksja decy-
duje o tym, czy umiesz pisać czy
nie.

A co?

Czy słyszysz melodię słów,
czy umiesz tak dobrać ich
rytm, żeby ludzie się zatrzyma-
li i chcieli ich posłuchać. Czy
umiesz wymyślić historię,
w którą się wierzy.

Jak wygląda pani warsztat pra- cy dzisiaj?

Dziękuję Bogu za nowo-
czesną technologię. Gdy dosta-
łam do ręki pierwszego maca,
zrozumiałam dwie rzeczy: po
pierwsze – że rzeczywiście mam
szansę zostać pisarką, a po dru-
gie – że Steve Jobs był dyslek-
tykiem. To widać w każdym je-
go projekcie. Teraz wszystkie
książki czytam w formie e-bo-
ków albo na iPadzie. Mogę po-
wieszyć czcionkę do takiej
wielkości, że przestaje mi się
rozlewać przed oczami. Mogę
użyć specjalnej czcionki dla dys-
lektyków, która sprawia, że „b”
przestaje się mylić z „d”, a „p”
z „q” – wymyślił ją pewien
mądry Holender. Mogę słuchać
audiobooków.

Kiedy sama siadam do pisa-
nia powieści, najpierw dużo cza-
su poświęcam na szczegółowe
wymyślenie fabuły i bohaterów,
a potem każde zdanie, każdy
fragment czytam na głos,
sprawdzam, czy to o tę melodię
mi chodziło, czy nie ma w niej
fałszywych tonów. Oczywiście,
robię błędy – poprawia je moja
redaktorka. Kiedy skończę roz-
dział, czytam jej na głos całość.
Potem ona czyta mi to z powro-
tem i wspólnie poprawiamy. Na
końcu robimy coś, co nazywam
redakcją na żywo.

Jak to wygląda?

Czytamy sobie nawzajem fragmenty książki, dialogi – i zadajemy
do nich pytania: czy bohater na pewno by tak powiedział, czy raczej
by to pomyślał? Czy użyłby aż tylu słów, czy mniej? Czy to brzmi
wiarygodnie, czy sztucznie? Sprawdzamy to, dopóki obie nie będzie-
my zadowolone. Dzięki takiej pracy czuję, że odzyskałam władzę
nad językiem. Przestał być moim wrogiem.

Co to pani daje?

Odzyskałam własny głos. I sprawczość. Już nie jestem tym bezsil-
nym dzieckiem, które musiało słuchać poleceń gigantów. Każdy do-
rosły – chce tego czy nie, jest dobry czy nie – jest dla dziecka wszech-
mocnym gigantem. Dlatego zawsze bliżej mi będzie do dzieci.

Dlaczego właściwie odważyła się pani mówić o swojej dysleksji otwarcie?

Nie miałam wyjścia. Kiedy urodziły się dzieci, długo okłamywałam
sama siebie, że nic im nie jest, że nie będą musiały przechodzić przez
to, przez co ja przesłam. Aż stało się jasne, że żyjąc w iluzji, nie uchro-
nię ich przed dysleksją. Pamiętam, kiedy mój syn miał jakieś siedem
lat. Leżeliśmy w łóżku, próbowałam razem z nim czytać książkę, ale on
wolał patrzeć w sufit. Zapytałam go, tak jak moja mama wiele lat
wcześniej: „Dominiku, dlaczego patrzysz w sufit, nie w książkę?”.
Ale wiedziałam już, co odpowię.

Co?

„Bo może na suficie te litery będą miały więcej sensu. W książce
w każdym razie ich nie mają”.

Dominik ma równie zaawansowaną postać dysleksji co moja, dziew-
czynki mają trochę łżej. Posłałam ich wszystkich do małej alterna-
tywnej szkoły w Londynie. Mieli wielkie szczęście do nauczycieli. Ale
kiedy zaczęłam odwiedzać inne szkoły, z przerażeniem zobaczyłam,
że niewiele się przez te lata zmieniło. Poziom ignorancji, dyskrymina-
cji, okaleczania dzieci z dysleksją był w wielu miejscach podobny do te-
go, co się działo w latach 60. Byłam wściekła, poczułam, że muszę to
zmienić i że robienie czegoś dobrego dla świata polega między innymi
na dzieleniu się swoim własnym doświadczeniem, na dawaniu nadziei.
Mnie akurat nie interesuje adopcja bezdomnych psów, bo nic na ten
temat nie wiem, wiem za to dużo na temat dysleksji.

Została pani ambasadorką dyslektyków?

Nie chcę tak tego nazywać, ale chciałabym zmienić to, jak się ich po-
strzega, jak się ich uczy, jak podkopuje się ich wiarę w siebie. Kiedy wi-
dzą rodziców, którzy łkają, bo ich dziecko właśnie zdiagnozowano jako
dyslektyczne, to chce mi się płakać razem z nimi, ale ze złości. To nie
jest choroba, to nie jest tragedia, to jest prezent od losu! To są często
niezwykle zdolne, mądre dzieci. Chciałabym, żeby ich rodzice, nauczy-
ciele i system potrafili to dostrzec. Naprawdę, nie wszyscy muszą zo-
stać prawnikami czy księgowymi, a system uczenia jest tak skonstruo-
wany, że skupia się głównie na tym, aby wypuszczać w świat ludzi jak
z pod jednej sztancy. Tracimy w ten sposób tyle talentów...

Kim zostaliście pani dzieci?

Dominik jest grafficiarzem. Projektuje scenografie do pokazów
mody, wnętrza hoteli. Lydia skończyła akademię sztuk pięknych
w Glasgow, robi niezwykle żyrandole, maluje. Wiem, że pisze
pierwszą powieść. Młodsza z bliźniaczek jest indywidualistką. Skoń-
czyła filozofię, ale nie podoba jej się współczesność, uważa, że wszy-
scy się zapędziliśmy i zmierzamy w niedobrym kierunku. Objechała
już pół świata, obecnie mieszka w przyczepie gdzieś w Anglii.

Pytała mnie pani, w jaki sposób czytam. Widzi pani tę ciężarówkę
zaparkowaną pod oknem, z napisem „pogotowie techniczne”?

Tak.

Przeczytałam ten napis od środka na zewnątrz. Nie od lewej
do prawej. I żyję. ■

WITRYNA REKLAMA



AUKCJA MŁODEJ SZTUKI

Warszawa
27 listopada, godz. 19



Adam Bakalarz
FS03
akryl/plótno, 150 x 110 cm

Cena wywoławcza
każdej pracy 500 zł

Dom Aukcyjny DESA Unicum
ul. Marszałkowska 34-50
Warszawa, 22 584 95 34

Katalog dostępny na
www.desa.pl



MECENAS KULTURY